

# OSLYCHAC

TYGODNIK STRESZCZEN.



Nr 14

9. VII. 1943.

6d.

---

1. OD REDAKCJI.....	str. 2.
2. CZY WIECIE, ŻE.....	2, 21.
3. LEONARDO DA VINCI.....	3.
4. JAK DOSZŁO DO WOJNY Z JAPONIĄ.....	c.d. 8.
5. PAMIETNIK ŻOŁNIERZA.....	12.
6. SYLWETKA PANI ROOSVELT.....	17.
7. KRZYŻACY.....	22.
8. ZNAK ZAPYTANIA.....	27.

---

W numerze

dziśnjym

---

**OKŁADKA:** Brytyjski humor. Hitler o s o b i ś c i e pociesza "współudziałowca i partnera" i to przez zastrzyknięcie Włochom większej ilości gestapowców.

---

#### OD REDAKCJI.

Numer piętnasty ukaże się w sprzedaży 17 lipca b.r. Zasłużona przerwa wybrana została nie według naszej woli, lecz ze względu na tygodniowy "holiday" edynburskich drukarzy i pokrewnej im branży. Podobno i handel będzie tu częściowo świętował około 10 dni, ale to już podajemy bez zobowiązania, tak tylko przy okazji.

---

Czy wiecie, że...

---

Hitler orzekł pewnego razu, że Anglicy popełnili 4.385.000 omyłek. Ktoś w Wielkiej Brytanii go poprawił i jeszcze dodał jedną omyłkę więcej. Twierdzi on mianowicie, że Hitler zapomniał doliczyć największy błąd Anglików, a mianowicie że kiedyś wogóle wierzyli jego przyrzeczeniom.

---

#### ZAGADKA.

Odgadnąć cyfrę, która przy dzieleniu jej przez 2, 3, 4, 5 daje w rezultacie pewną cyfrę plus jedność w reszcie, a przez siedm dzieli się bez reszty.

Udповідь u Nr. 17.

---

## Leonardo da Vinci.

W piętnastym wieku Italia weszła ponownie na drogę ogromnego rozwoju. Jej przebogata, kulturalna przeszłość zostaje jakby na nowo odkryta przez współczesnych. Entuzjazm dla sztuki starożytnej Greków i Rzymian rośnie, a ich naukowe osiągnięcia studiowane są gorliwie przez geniuszów tego stulecia.

Półwysep Apeniński podzielony był wtedy na wiele małych państweczek, a ambitni książęta starali się o ile możności powiększyć swe posiadłości kosztem sąsiadów. Były to czasy bardzo burzliwe i niespokojne. Walki polityczne miały jednak wielki wpływ na życie intelektualne. Powszechnie dążono do uzyskania jaknajlepszych osiągnięć w każdej dziedzinie. Był to wiek narodzin Renesansu. Rywalizacja na polu nauki i sztuki, święciła swe największe tryumfy. Nigdy przedtem artyści nie cieszyli się takim szacunkiem i wzięciem, jak w owym czasie. Szczególnie zaś byli pożądanymi przez ówczesnych władców państw. Każdy z książąt starał się wynaleźć pośród swych poddanych jaknajwiększą ilość artystów i uczonych dla uświetnienia dworów. Nie żałowano na to pieniędzy. Wielki rozgłos otaczał takiego władcę, a jego sława była również udziałem rządzonego przez niego kraju. Każde nowe dzieło sztuki wywoływało sympatię i zachwyt niemal całego ówczesnego świata.

Sztuka i rzemiosło związane były naówczas ze sobą nierozłącznie. To ostatnie wpływało na rozwój handlu i przemysłu. Ówczesni władcy rozumieali także ogromne znaczenie techniki dla ekonomicznego rozwoju kraju. Krwawe wojny prowadzone były nie tylko dla powiększenia terytoriów, ale również dla zagarnięcia lub przeniesienia kwitnących gałęzi przemysłu sąsiada na swoje terytorium. Wynalazki uważane były za własność narodową. Kto zdradził ich tajemnicę obcemu państwu, był sądzony, jako zdrajca i karany śmiercią.

Ten wiek ogromnego postępu wydał na świat Leonarda da Vinci. Zyskał on sławę jako malarz i rzeźbiarz nie tylko w granicach swego kraju, lecz również i daleko poza granicami całej Italii. Zdolności jego nie ograniczają się jedynie do sztuki. Medycyna i technika mają bardzo wiele do zawdzięczenia geniuszowi Leonarda da Vinci.

Urodził się on w roku 1452 w Vinci pod Florencją. Był naturalnym synem Piero da Vinci, jednego z członków rady, rządzącej Florencją. Matka jego, Katarzyna, była wiejską dziewczyną. Ojciec, wkrótce po narodzeniu się Leonarda, poślubił pannę ze swej sfery. Lecz Piero da Vinci opiekował się swym naturalnym synem w tym że stopniu, co i legalnymi dziećmi, narodzonymi później.

O młodości Leonarda tyle tylko wiadomo, iż jako kilkunastoletni chłopiec, namiętnie rysował wszystko, co tylko rzuciło mu się w oczy. Jego rysunki spodobały się ojcu, pokazał je przeto ówczesnemu, znanemu florentyjskiemu artyście - Verrochio. Verrochio był malarzem, rzeźbiarzem i złotnikiem. Poznał się on natychmiast na zdolnościach Leonarda i zgodził się przyjąć go, jako swego ucznia.

W ten sposób Leonardo stał się pupilem Verrochia, a ukryte w nim talenty miały możność wystąpienia w całej swej okazałości. Nie tracił też czasu: malował, rzeźbił, pisał wiersze i komponował pieśni. Z początku jednak entuzjazmował się najbardziej muzyką.

Florencję Leonardo opuszcza w 1480 roku. Podróżuje po Italii w ciągu czterech lat i wreszcie zostaje zaproszony na dwór księcia Mediolanu, Ludwika Sforzy il Moro.

Muzyka Leonarda wzbudza podziw księcia Sforzy. Obdarza go funkcją i tytułem mistrza ceremonii dworu. A był to w tym czasie przebogaty dwór, na którym ciągle odbywały się wspaniałe uczyty i piękne uroczystości. Leonardo zachwycał wszystkich swymi pomysłami, którymi starał się zabawić możnych, książęcych gości. Łącznie przebył on w Mediolanie długich piętnaście lat.

Sztuki teatralne i wielka ilość pieśni nie były jedynymi płodami jego geniuszu. Wiele malował i rzeźbił w tym czasie. Znane na świat cały jego dzieło "Ostatnia Wieczerza", było tylko jednym z jego arcydzieł...

W roku 1494 Leonardo wyjeżdża do Pawii. Tutaj zainteresował się anatomią. Studiując, jako artysta ciało ludzkie, zaczął bliżej badać tajemnice tego cudownego tworu natury i stał się wkrótce jednym z najznakomitszych anatomów swych czasów.

Poza tym Leonardo pracuje w najróżniejszych gałęziach wiedzy, a czyni to tak mądrze, że studia jego przynoszą światu nowe wynalazki i pomysły.

Jednakowoż technika interesowała go najbardziej. Zbudował wielkie kanały oraz zmodelował projekt pomnika ojca księcia Ludwika. Pomnik ten, przedstawiający starego księcia na koniu, już w modelu wzbudzał podziw swymi gigantycznymi rozmiarami.

Niestety, wiele jego technicznych projektów i prac nie zostało wykończonych z powodu wojny z Francuzami. Nawet model pomnika został zburzony przez zwycięzców po zdobyciu Mediolanu.

Wobec poniesionej klęski, księżę Ludwik ucieka do Niemiec, a Leonardo czasowo przenosi się do Florencji. Tam otrzymuje stanowisko głównego inżyniera wojskowego i przystępuje natychmiast do fortyfikowania miast, podległych księciu Cezaremu Borgia. List, w którym Leonardo oferuje swoje usługi, przechował się do naszych czasów. Jest on wzorem panującego wówczas stylu, oraz zdradza wiedzę Leonarda na polu techniki wojskowej. W liście tym proponuje księciu konstrukcję długich wojskowych mostów, które budowane na brzegu, można szybko składać i spuszczać na wodę. Projektuje sposoby osuszenia rowów fortecznych w czasie zdobywania fortec oraz budowę mostów zwodzonych. Podaje możliwości niszczenia grubych murów, których żadne działo nie potrafi zburzyć. Zna on się też na odlewaniu ówczesnych dział i na sposobach ich transportowania. Proponuje nawet zbudowanie specjalnych wozów, które pozwoliłyby szybko i bezpiecznie przewieźć odpowiednią ilość armat niemal w

sam środek nieprzyjacielskiego ugrupowania.

Co się tyczy walki na morzu, Leonardo rzuca dziesiątki pomysłów, dotyczących najróżniejszych broni i maszyn, mogących być użytych tak w ataku, jak i w obronie.

Ale gdy nastaje pokój, Leonardo znowu buduje wielkie gmachy i drogi, reguluje rzeki i osusza bagna. A w wolnych chwilach maluje i rzeźbi.

Mediolan, przyłączony po skończonej wojnie do Francji, zaprasza w 1508 roku pięćdziesięciosześcioletniego artystę i proponuje mu objęcie kierownictwa odbudowy miasta. Leonardo przyjmuje to zaszczytne zaproszenie i przez siedm lat pracuje w charakterze inżyniera, konstruktora i projektodawcy. Wielu współczesnych znakomitych artystów nie mogło darować mu jego sprzeniewierzenia się sztuce. Ale prace techniczne i wynalazki ciągnęły i pochłaniały go najbardziej.

Niestety, ciągłe wojny i niepokoje nie pozwoliły spokojnie oddać się tej pracy. Rozpoczęte roboty często były przerywane a niejednokrotnie trzeba było wykonywać je od początku. Leonardo zmęczony i zniecierpliwiony tym stanem rzeczy, przyjmuje zaproszenie króla francuskiego, Franciszka I i w roku 1515 wyjeżdża do Francji, aby spędzić tam pozostałe lata swego pracowitego i bogatego życia.

Oczekiwały go tam zresztą wielkie zaszczyty i pomoc wszelkiego rodzaju. Mógł pracować według swych upodobań. Wszelkie materialne troski zostały usunięte. Pozwolono mu spędzić ostatnie lata jego wspaniałego, pełnego tryumfów życia w aureoli "księcia sztuki i wiedzy".

Od swego królewskiego przyjaciela otrzymał zamek St. Celoux pod Amboise nad Loarą. W ciągu ostatnich tam spędzonych czterech lat, gościł u siebie swych włoskich i francuskich przyjaciół i uczniów. Wszędzie i pośród wszystkich cieszył się wielkim szacunkiem, a najbardziej był honorowanym przez mądrego króla.

Lecz Leonardo nie należał do rzędu ludzi, którzy potrafią spocząć na laurach. Jego prace pasjonowały go. Nie tracił też czasu i w dalszym

ciągu głowił się nad najróżniejszymi technicznymi problemami, planował budowy nowych kanałów i zawsze potrafił rozwiązywać najbardziej trudne do wyimaginowania techniczne zadania.

Dla uzupełnienia obrazu Leonarda da Vinci, przytaczamy jeszcze parę zdań jego biografa, Vasari'ego. Charakteryzują one dobrze tę szlachetną i obdarzoną nadzwyczajnymi zdolnościami jednostkę średniowiecza.

"Widzimy często ludzi, wyposażonych przez naturę jakimiś talentami lub piękną budową ciała. Ale ~~dziasem~~ stwierdzamy nadnaturalną hojność, z jaką człowiek zostaje obdarzony: i pięknnością twarzy i dobrym i miłym charakterem i wreszcie biegłością w sztuce tak wielką, że nieomal każdym swym ruchem potrafi on kreować boskie twory. Taki człowiek wielokrotnie przewyższa współczesnych mu ludzi, a wykonane przez niego dzieła wydają się tak wspaniałe, że wyglądają raczej na stworzone z boskiego natchnienia a nie zrobione przez zwykłego, choćby utalentowanego śmiertelnika".

"Taki to wypadek nadnaturalnego obdarowania przez naturę zachodzi u Leonarda da Vinci. Budowa jego ciała była skończenie piękną, ponad wszelkie wymagania. Każdy jego ruch był pełen gracji i miał w sobie coś pociągającego. Jego zdolności we wszystkich kierunkach były tak nadzwyczajne, że gdziekolwiek tylko się obrócił, tam potrafił rozwiązywać najtrudniejsze nawet problemy. Jego niezwykle siły fizyczne połączone były z wielką ruchliwością. Odznaczał się przy tym odwagą i szlachetną śmiałością. Imię jego w świecie współczesnym było tak głośne, że podziwiany on był nie tylko przez żyjących w tej epoce ludzi, ale również i przez potomność całego kulturalnego świata!"

Leonardo da Vinci zmarł w maju 1519 roku. W manuskryptach jego znaleziono zdanie, mogące służyć, jako epitafium:

"Jak dobrze spędzony dzień daje spokojny sen, tak dobrze spędzone życie przynosi spokojną i cichą śmierć".

## Jak doszło do wojny z Japonią.

c. d. z Nr. 13.

Odnosnie Ameryki sprawa jest jasna. Rząd amerykański wbrew może swemu przekonaniu miał nadzieję, że uda się jakoś rozsądnie ułożyć stosunki z Japonią. Gdy się to nie udało, sądzono, że odwlecze się wybuch wojny, przynajmniej do tej chwili, dopóki Japończycy będą mieli ochotę rozmawiać.

Na prośbę Nomury, rozmowy były poufne. Sekretarz Stanu Hull i ambasador japoński odbyli około 60 spotkań. Jakkolwiek rozmowy te mogły być sympatyczne, trzeba jednak zdać sobie sprawę, że obydwu mężów stanu dzieliła przepaść dwóch odrębnych światopoglądów.

Świat Hull'a to XIX wiek, w którym imperialistyczne ambicje można załatwiać bez uciekania się do wojny kontynentów czy mocarstw, gdyż rządy państw same wyznają kult prawa międzynarodowego. Był to przecież wiek liberalizmu i humanitaryzmu, którego myślą przewodnią był postęp i rozwój ludzkości.

Świat Nomury cofał się do czasów cesarza Jimmu, czasów wojowniczych samurajów. To świat nieodmieniony przez ideały chrześcijaństwa i zaledwie dotknięty demokratycznym indywidualizmem.

Gdy Amerykanin mówił o stosunkach międzynarodowych, myślał on o polityce dobrych sąsiedzkich stosunków. Lecz przełożeni Nomury w Tokio zawsze pamiętali o memoriale Tanaki, który był ich vademe-cum do podboju świata. Japońscy politycy publicznie zaprzeczali istnieniu tego memoriału, lecz całe ich postępowanie od napadu na Mandżurię aż do Pearl Harbour potwierdza tylko fakt jego istnienia.

Nomura istotnie należał do grupy pokojowo usposobionych polityków japońskich, lecz grupa ta nie miała żadnego wpływu na bieg spraw państwowych. Admirał Nomura, który wiele podróżował na zachodzie, był pełen podziwu dla narodów anglo-saskich



i szczerze wyznawał politykę pokojową. Podobnie jak wielu innych starszych oficerów marynarki, widział przyszłość Japonii, jako kraju przemysłowego, mogącego być bankierem i wytwórcą dla Dalekiego Wschodu. Sądził, że Japonia winna dążyć do umiarkowanej politycznej i handlowej penetracji Chin i reszty azjatyckiego świata.

Japończycy tego pokroju nigdy nie godzili się z dotychczas stosowaną polityką gwałtu w stosunku do Chin. Uważali oni, że uczucie nienawiści, które wywoływały gwałty żołdaków japońskich w Chinach, nie warte było powierzonych korzyści wojskowego podboju.

Nomura odrzucał myśl wojny ze Stanami Zjedn. Nie przeceniał on sił Niemiec, a zdawał sobie sprawę z zasobów materialnych, zdolności i ducha walki narodów anglo-saskich, zmuszonych do wojny. Przewidując nieuchronną klęskę Niemiec w tej wojnie, obawiał się również klęski Japonii.

Aż do końca, rozmowy pozostały w sferze badań wstępnych i do istotnych rokowań nigdy nie doszło. Przyczyną tego był częściowo fakt, że Nomura nie miał nic konkretnego do zaproponowania swemu partnerowi. Odmawiał wycofania się Japonii z Chin, lecz również uchylał się od dyskusji na temat wycofania się Japonii z paktu trzech. Nomura omawiał tą sprawę dość ogólnikowo, lecz dla Hull'a było jasne, że kamieniem węgielnym polityki zagranicznej Tokio jest pakt z państwami Osi.

Aby zrozumieć role obydwu rozmówców, trzeba pamiętać, że rozmowy rozpoczęły się na prośbę Japonii. Rząd amerykański nie żądał uprzednio niczego od Japonii, nie stawiał nigdy żądań, ani też nie proponował żadnych formuł.

Amerykanie stali na stanowisku, że nie potrzebne są żadne układy, jeżeli tylko Japonia zechce postępować zgodnie z podpisanymi zobowiązaniami, z prawem międzynarodowym oraz normalną międzynaro-

dową przyzwoitością. Niemniej jednak zarówno Prezydent jak i Sekretarz Stanu chętnie prowadzili zawsze dyskusje na każdy temat, podejmowany przez Japonię.

W dwa miesiące po rozpoczęciu rozmów nastąpiło pierwsze przesilenie. Japonia przez zawarcie układu ze Stalinem zabezpieczyła się od północy. 12-go maja Nomura w dłuższym i wyczerpującym oświadczeniu zaproponował Stanom Zjednoczonym "entente cordiale", polegające na tym, że oba państwa uznają i poręczają sobie wzajemnie swoje dominujące stanowisko na obszarze Pacyfiku. W długim wywodzie wstępnym Japończyk wyraził nadzieję, że przez wspólne wysiłki, obydwie państwa mogą zapewnić pokój na Pacyfiku, a przez natychmiastowe zawarcie "entente cordiale" mogą powstrzymać albo też rozpuścić zbliżające się chmury wojenne.

Tę pozornie uczciwą propozycję Japonia chciała jednak połączyć z żądaniem uznania przez Stany Zjedn. dominującego stanowiska jej w Chinach.

Wzamian za zdradę Chin - czego rząd amerykański ani przez jedną chwilę nie brał poważnie pod uwagę - Japończycy jak zwykle nie oferowali żadnej rekompensaty. Tokio nawet nie myślało o rozluźnieniu swych węzłów z państwami Osi.

Memorandum z 12 maja stwierdzało tylko, że Japonia zarezerwowała sobie prawo interpretowania swoich obowiązków, wynikających z paktu trzech, według własnego uznania t.j. bez zasięgania opinii Berlina i Rzymu. Rzecz prosta, że takie luźne i pozbawione znaczenia sformułowanie nie mogło być przyjęte przez Stany Zjedn.

W tym samym czasie inne rozmowy były prowadzone w Berlinie i Rzymie. W marcu Matsuoka pojechał przez Moskwę do Berlina i Rzymu. Wizyta jego zbiegła się z porażkami Włoch w Albanii i na Morzu Śródziemnym.

Wesoły i bezczelny Matsuoka prowadził dość gwał-

towne rozmowy z Hitlerem, który jak wiemy lubi okazywać swój zły humor w dyplomatycznych pociągnięciach. W Rzymie Matsuoka przyjmuje motorówkę jako prezent od Mussoliniego.

Hitler przypuszczalnie żądał od Japonii wykonania tajnej klauzuli układu, która zobowiązywała Japończyków do zaatakowania Ameryki i W. Brytanii w czasie, wskazanym przez Berlin. Gdy Matsuoka odpowiedział, że nie jest upoważniony do podjęcia tak ważnej decyzji Hitler wpadł w zły humor...

Gdy rząd amerykański dowiedział się o krótkim spięciu w kancelarii Rzeszy, zwątpił czy Hitler istotnie chce wprowadzić Japonię do wojny. Sądzono raczej, że Hitler pragnie wypróbować szczerość intencji swego sojusznika. Natomiast wezwania, skierowane w trzy miesiące później do Tokio, stworzenia nowego frontu na Pacyfiku - nie było obłudne i odmowa Japonii wywołała wówczas chwilowe zachwianie zaufania między sojusznikami.

W kwietniu Hitler nie jest gotów do wojny z Ameryką, nie jest również gotowa Japonia. Wyszkołenie wojsk inwazyjnych na Formozie i wyspie Hainan nie było jeszcze zakończone.

---

W maju b. r. ukazał się Nr. 33 "PORADNIKA DLA PRACOWNIKÓW ŚWIETLIC ZOENIERSKICH", wydawnictwa Polskiej YMCA w W. Brytanii.

Numer powyższy, poświęcony Tatrom zawiera utwory: Tetmajera, Grabowskiego, Asnyka, Kasprowicza, Malczewskiego, Witkiewicza, Goszczyńskiego, Zegadłowicza, Drzewicy, Gałuszki, Stromengera, Romera, Chybińskiego, Nowickiego, Barabasza, Paczkowskiego, Kordysa, Radzikowskiego i innych.

Ponadto w roku bieżącym ukazały się Nr. 29, 30/31 i 32 "PORADNIKA", poświęcone zagadnieniom:

Nr. 29. - Polacy w cywilizacji świata.

30/31. Warszawa.

32. - Działalność Polskiej YMCA w kraju i na wychodźctwie.

---

O świcie, zdziwiony forsownością tego marszu, dopędzam dowódcę batalionu, aby się dowiedzieć czegoś o jego kierunku i celu. Objasnia mi, że Niemcy są pod Hrubieszowem i że nacieramy na dywizję zmotoryzowaną, która się przeprawiła przez San. Że walki pod Rawą Ruską przyjęły dla nas pomyślny obrót, więc tę grupę, którą mamy przed sobą zepchniemy na Karpaty, albo pogubi ona sprzęt przed Sanem.

Z chwilą jak nacieramy, to już dobrze! Wracam więc do kompanii i staram się, jak mogę uśmierzyć coraz większe szemrania. Do miejsca wypoczynku, dochodzimy zupełnie wyczerpani późnym rankiem 17 września.

Postój w lesie, żadnych osiedli w pobliżu niema. Zakazywać żołnierzom wychodzenia w pole nie potrzeba, bo wszystko momentalnie wali się z nóg i zasypia.

Pułkownik po raz pierwszy zwołuje odprawę oficerów pułku, /w nowym składzie/. Zgromadzeni na polanie, wysłuchujemy groźnego, "krwiożerczego" przemówienia, z kwiatkami tego rodzaju, jak "sądzić, karać rozstrzeliwać" itd. Potem odczytano nam rozkaz dowódcy grupy, z którego wynikało, że dla podniesienia, rozluźnionej nieco dyscypliny, oficerowie winni przede wszystkim uporządkować swój wygląd zewnętrzny. "Bród nie golonych od tygodnia nie zniosę".

Ogólne moje wrażenie było takie, że całość przemówienia odnosiła się nie do nas. Była wogóle źle skierowana, bo do żołnierza, który w tej chwili pozostawał w szeregach, naprawdę nie potrzeba było aż tak groźnie podchodzić, aby mu wytłumaczyć konieczność wykonania obowiązku. Ja swojej kompanii byłem pewny całkowicie, a mam wrażenie, że pułkownik, nie znając jeszcze wszystkich

oddziałów, nie był pewny czy oficerowie dostatecznie panują nad nimi. Wrażenie to utwierdziło się we mnie, kiedy po pierwszych starciach zauważyłem ze strony pułkownika zupełną zmianę słownika i taktyki pedagogicznej. Tak jakby się przekonał, że wszystko funkcjonuje należycie. Warczeń nie przestał, ale już nie groził.

W ciągu dnia idę do dowódcy batalionu, na pogawerkę i poruszam sprawę równouprawnienia kobiet.

-Słuchaj Jasiu! - powiadam - Mam pewien kłopot i chcę ci o nim zameldować. Mam u siebie w kompanii kobiety.

-A cóż ty, aniołeczku, myślisz, że ja o tym nie wiem? Wcale, wcale!

-To w takim razie jesteś dokumentnie głupi, bo żadne "wcale, wcale", a poprostu dziewczyna przyłączyła się razem z żołnierzami, do kompanii, powiada że nie ma gdzie iść, itd.

Objaśniam go o całej sprawie i staje na tym, że rozmówi się z lekarzem czy się nie da umieścić jej w izbie chorych.

Potem kapitan się mnie pyta.

-Słuchaj, chłopie, idziemy prosto do walki, czy ty jesteś pewny ludzi, a właściwie jak stoi sprawa z nogami, bo kapitan Grünfeld, dowódca piątej kompanii jest właśnie ze względu na przemęczenie, bardzo pesymistycznie nastrojony.

Odpowiadam, że jestem absolutnie pewny, że do walki chłopaki pójdą w najgorszych warunkach, ale jeszcze jeden lub dwa takie marsze jak dzisiaj, zniszczą mi kompanię gorzej niż by to mógł zrobić nieprzyjaciel.

Przed wieczorem zaczyna sączyć, pierwszy od początku wojny deszczyk. Wprawdzie jest on bardzo anemiczny i prędko ustaje, ale zaczynamy wróżyć sobie, że zaczną się teraz większe deszcze, lotnictwo nieprzyjacielskie nie będzie miało tej widoczności co dotychczas i wszystko się odmieni.

Późnym wieczorem wymarsz, wchodzimy jednak na jakąś dobrą szosę i marsz pomimo trwania przez całą noc, nie jest ani w części tak męczącym jak wczorajszy. Rano wkraczamy do Hrubieszowa. Na spotkanie wylegają tłumy ludzi. Radość, płacz, krzyki, powitania. Byli tu Niemcy i uciekli, a potem ukraińcy mówili, że tu będą sowiety, i raptem nasze wojska wróciły.

Eskortowany przez zwartą masę ludności, pułk wkracza na teren koszar 2 pułku strzelców konnych. Koszary puste. Nawet rodziny wojskowe, w obawie przed nieprzyjacielem, wyprowadziły się ze swoich mieszkań. Pogoda znowu piękna, więc obozujemy na trawnikach, przed poszczególnymi budynkami.

Z miasta przyjeżdżają dorożkami przedstawiciele miejscowego społeczeństwa, jakieś panie, kilku chłopców, i dziewczynek i nawet jeden starszy żyd i zaczyna się rozdawanie żołnierzom bułek i chleba z masłem. Kiedy wygłodzone bractwo zwartym tłumem oblega wóz, żyd uspakaja.

- "Nie bójcie się, dla wszystkich wystarczy, jak to się skończy, to przywieziemy więcej, wszystkie piekarnie dostarczają. A potem będziemy gotowali jeszcze obiady".

I rzeczywiście wozy i dorożki wracają po kilka razy, tak że każdy żołnierz dostaje i chleba i masła pod dostatkiem.

W południe nadchodzi z dowództwa pułku, ulokowanego w kasynie oficerskim, rozkaz: ogłosić żołnierzom ostatnie wiadomości. "Łódź odbita, w Berlinie rewolucja, Gdańsk zdobyty itd.

Tu muszę przyznać, że dotychczasowy mój optymizm mnie zawiódł. W rewolucję niemiecką nie chcę wierzyć, bo niby z powodu? Wobec tego nie mam siły mówić o tym żołnierzom, ale nie sprzeciwiam się odczytaniu tych wiadomości przez podchorążego, tym bardziej, że z Łodzią to pewno prawda, a tyłu mam w kompanii Łodzian.

Entuzjazm wybucha nieopisany! Ludzie krzyczą i ściskają się! Lecą całą kupą do mnie i pomimo, że tłumaczę im, że nie nie wiem i że nie wiadomo ile w tym prawdy, podnoszą mnie w górę. Jestem zmieszany jak ktoś, kto otrzymuje nie należące mu się honory. Czuję w głębi ducha że to nie prawda, ale rozczarowywać tych dzielnych chłopaków i nie mogę i nie chcę. Radosny nastrój utrzymuje się do samego wieczora, pomimo jakichś niemądrych pogłosek, że Bolszewicy przekroczyli nasze granice. Niby w jakim charakterze?

Dodatni wpływ na mój nastrój wywierają ppor. Lomacki, płatnik batalionu, który zgłasza się aby wypłacić mi gażę. No, jak płacą forszę, to chyba wszystko jest O.K.

Sierżant szef wywahał, że jest tu nienaruszony magazyn mob., tylko że bez specjalnego rozkazu jakiejś bardzo wysokiej władzy, nie można go otworzyć. Dowódca batalionu interweniuje u pułkownika i na jego rozkaz magazyn otwieramy. Do wieczora kompania jest już całkowicie wyekwipowana, ma czystą bieliznę i nawet chustki do nosa, a ja upragnioną bluzę drelichową i filcowe buty na obolałe nogi. Wprawdzie w butach tych jest piekielnie gorąco, ale są zato szerokie i wygodne.

Wieczorem przy kolacji w kasynie, pułkownik objaśnia nas o pomyślnym przebiegu walk pod Lwowem i Rawą Ruską. Grupa nieprzyjacielska którą mamy przed sobą, nie powinna nam ująć. Na zapytanie moje skąd pochodzą wiadomości ogłaszane w południe, odpowiada, że "muszą" być one prawdą, bo otrzymał je z dowództwa grupy.

Moment sowiecki w rozmowach naszych nie jest poważniej rozstrząsany i wzbudza raczej wątpliwości.

Poza tym dowiadujemy się, że późnym wieczorem będzie jakaś ważna audycja radiowa. Postanawiamy z kapitanem odwiedzić miejscowego farmaceutę żyda,

który ma radio. Do wieczora czas zbiega na wydaniu żołnierzom różnych części umundurowania, co pod kierunkiem pomstującego sierżanta Żyły /-panie poruczniku, trzeba koniecznie tych kilku niesforniejszych do raportu/ odbywa się sprawnie, a około jedenastej idziemy na radio!

Wysłuchaliśmy ostatniego przemówienia Prezydenta Mościckiego, zawiadamiającego kraj, że rząd uznał za stosowne przenieść się na terytorium sąsiedniego państwa. O rewolucji w Niemczech nie było mowy.

&

&

&

Z rana 19 września bomba pękła! Nie rozumiemy nic! Garnizon Włodzimierza Wołyńskiego, kilka pułków, złożył broń i rozpuszczony do domów?! Generał Sawicki podobno zastrzelił się. Dostaję rozkaz ubezpieczenia miasta od północy i obsadzenia dróg na Chełm i Włodzimierz Wołyński. Zbiegów z tego statniego mam do miasta nie wpuszczać, kierując ich na Chełm. Żołnierzy uzbrojonych mam zbierać i odsyłać do koszar. Wymaszerowuję więc z kompanią i 2 ckm. do cegielni, położonej już za miastem, dokąd mi zakładają niezwłocznie z dowództwa pułku telefon. Wystawiam placówki, wyznaczam stanowiska i czekam. Napływający z Włodzimierza żołnierze opowiadają mi, że zakomunikowano im, że to koniec wojny, że mogą wracać do domów, że widzieli Bolszewików i że ukraińska ludność już na nich w drodze napadała. Ciągle jeszcze nie umiemy, czy też nie chcemy, połączyć w naszych umysłach tego wypadku z wystąpieniem Sowietów.

Przybyły z miasta dowódca batalionu obchodzi ze mną stanowiska i informuje mnie o stanowiskach innych kompanii ubezpieczających miasto z innych kierunków.

d.c.n.



## Sylwetka Pani Roosevelt.

Anna Eleanor Roosevelt liczy obecnie 58 lat. Gdy miała 10 lat, umarła jej matka, a młodszego jej brata oddano jej pod opiekę. Od wczesnej więc młodości zmuszona była dawać sobie radę w życiu. Z natury była nieśmiałą i bez zdolności zjednywania sobie przyjaciół. Największym dla niej postrachem były zebrania rodzinne Rooseveltów, pełne okropnych kuzynów i ciotek w rodzaju przystojnej lecz przykrej pani James Roosevelt. Syn tej damy, Franklin, daleki kuzyn Eleanor, potrafił być dla niej zawsze miły i uprzejmy. Po osiągnięciu lat szesnastu, Eleanor postanowiła wyjechać do W. Brytanii i tam ukończyć średnią szkołę.

Kierowniczka szkoły spostrzegła szybko, że inteligentna lecz nieśmiała panienka, jedynie przez dodanie jej odwagi, rozwinie swe zdolności. Czyniła co mogła, tak w szkole jak i w czasie wakacji aby zwalczyć jej wrodzoną nieśmiałość. Wakacje spędzano na podróżach po Europie. Nauczycielka Eleanor będąc niezależną w myśleniu, w czasie wojny boerskiej głośno manifestowała swoje sympatie dla Boerów. Ona to skierowała Eleanor w kierunku liberalnego i postępowego myślenia oraz przysposobiła ją do przyszłej służby społecznej. Ideałom tym Eleanor pozostała wierna dotychczas.

W czasie pobytu w Europie miała jedną troskę: aby Franklin, daleki jej kuzyn, nie zapomniał o niej całkowicie. Franklina dręczyła ta sama myśl, lecz matka jego, przeciwna temu związkowi, wywiozła go na Antyle, aby zapomniał o Eleanor, albo upewnił się o stałości swego uczucia. Młody Roosevelt był całkowicie pewnym swego, to też wkrótce po powrocie młodzi zaręczyli się i pobrali. Zakochany mążnek zdawał sobie sprawę z pozycji Eleanor, jako bratanicy Teodora Roosevelta. Państwo młodzi już na uczcie weselnej przekonali się o ro-

li polityki w życiu Amerykan. Goście weselni zapomnieli o młodej parze a skupili się około Prezydenta, <sup>x/</sup> opowiadającego swoje myśliwskie przygody.

<sup>x/</sup> Teodor Roosevelt /1858-1919/ był Prezydentem Stanów od 1901 do 1909 r. Od 1898 do 1900 r. był gubernatorem stanu Nowy Jork. W 1900 r., w czasie wyboru Mac Kinleya, Roosevelt został wybrany wiceprezydentem Stanów. Po zabójstwie Mac Kinleya w 1901 został Prezydentem i w 1904 r. wybrano go ponownie na drugą kadencję. W 1912 r. w Milwaukee wykonano zamach na jego życie. Roosevelt z kulą w piersi przemawiał przeszło godzinę na zgromadzeniu publicznym.

Franklin Delano Roosevelt był dalekim kuzynem Teodora i w 1905 r. ożenił się z jego bratanicą, Anną Eleanor Roosevelt. Od 1910 do 1915 był senatorem, wybranym ze stanu Nowy Jork. Od 1915 do 1920 r. podsekretarzem stanu marynarki wojennej. W 1928 r. olbrzymią większością wybrany został gubernatorem stanu Nowy Jork. W 1933 r. wybrany Prezydentem Stanów, zaś w 1941 r. po raz trzeci na 4-o letnią kadencję.

Według słów Eleanor pierwsze 10 lat pożycia małżeńskiego poświęciła ona wychowaniu swych sześciorga dzieci. Przyznaje również, że większość tego czasu musiała zużyć na to aby zgłębić i zrozumieć na czym polega harmonia pożycia dwojga ludzi oraz zdobyć trochę poczucia humoru, którego była całkowicie pozbawiona. Główną jej jednak troską i zajęciem były t.zw. dobre uczynki. "Moim ideałem i ambicją w owym czasie było zdobycie istotnej dobroci oraz użyteczności w życiu społecznym". Niepokoiło ją, aby Franklin nie stał się cynikiem i dyletantem. Bolało ją też, że Franklin nie podzielał jej trosk o wychowanie religijne dzieci. Twierdził on mianowicie, że nie warto z

tego powodu nie spać w nocy.

Pani Roosevelt stwierdza, że w owym czasie mało interesowała ją polityka i polityczna kariera męża. "Nie wiele rozumiałam wówczas na czym polegała kampania polityczna w okresie wyborów Wilsona, chociaż wiedziałam, że mój mąż jest tą sprawą bardzo zainteresowany". Do 1918 r. polityka była jej wrogiem, gdyż odsuwała od niej Franklina i ich życie rodzinne było trudne. "Nie dziwię się, że musiałam wówczas wszystkich nudzić. Nie miałam absolutnie poczucia ważności tych spraw".

Dopiero w czasie nieudanej kampanii wyborczej, gdy Roosevelt kandydował na wiceprezydenta Stanów, udział jego żony w życiu politycznym staje się żywszym. Roosevelt prowadził tę kampanię jako zwolennik Ligi Narodów i przeciwnik izolacjonizmu i dlatego ją przegrał. Przewodnikiem pani Roosevelt w tajnikach polityki był "Louie" Howe, mąż, zasuszony i rozwichrzony a jednak niezastąpiony dziennikarz z Albany. Zapoznał on ją ze zwyczajami i metodami pracy dziennikarzy i polityków amerykańskich oraz nauczył ją obowiązków żony polityka.

W tym czasie spadł na nią nagły i nieoczekiwany cios, Franklin został porażony paraliżem dziecięcym. Pani Roosevelt poświęciła się całkowicie zwalczaniu tej choroby. Rozumiała ona lepiej niż jego matka, że Roosevelt nie potrafi żyć jako inwalida, gdyż wiedziała czym jest dla niego towarzystwo przyjaciół i aktywny udział w życiu politycznym kraju. W ciągu 8-u lat tej choroby, przy pomocy "Louie" Howe, potrafiła utrzymywać w ciągłej świeżości umysł unieruchomionego Roosevelta, zaś na siebie wzięła większość jego prac politycznych. Została członkiem Ligi kobiecych związków zawodowych. Pomimo braku doświadczenia politycznego, zdecydowała się przewodniczyć kobiecemu komitetowi demokratycznemu oraz Lidze kobiet-wy-

borczyń. Musiała w sobie zwalczać wiele uprzedzeń i odrazę do przykrych stron politycznego życia. Nauczyła się mówić dobrze, krótko i na temat. Lecz głównym zadaniem i celem jej życia było doprowadzenie Franklina, aby znowu mógł chodzić. Powiedziała sobie: "Muszę zwalczyć tę chorobę". Gdy w końcu osiągnięto częściowe zwycięstwo, pani Roosevelt skromnie oświadczyła: "Nie robiliśmy nic więcej poza traktowaniem go jako normalnego, zdrowego i silnego mężczyzny, jakim był dawniej".

Od tego czasu utrwaliło się w niej zaufanie do siebie a jej udział w życiu publicznym stale wzrastał. Gdy pp. Rooseveltowie w 1934 r. zamieszkali w Białym Domu, życie publiczne obydwójga wzmogło się niepomierne. Społeczeństwo amerykańskie było oddawna przyzwyczajone, że małżonki Prezydentów rzadko się udzielają i mało się o nich słyszy. Doradcy Prezydenta zaczęli się niepokoić. Pani Roosevelt nic sobie jednak z tego nie robiła gdyż miała swój pogląd na te sprawy. W całych Stanach nawiązała ona osobiste i tak serdeczne stosunki i kontakty w różnych sferach społecznych, że stała się najlepszym doradcą i informatorem Prezydenta, którego obowiązki trzymały w stolicy. Najcięższe dni przeżyła w czasie wprowadzania New Deal'u. Te sfery, z których pochodzili Rooseveltowie, zwalczały najbardziej reformy społeczne i gospodarcze Prezydenta. Nie cofano się przed rzucaniem najgorszych, plugawych zniewag na Biały Dom. Pani Roosevelt petrafiła jednak, dzięki swym kontaktom osobistym, zrobić zbawienne odkrycie: Polityka Roosevelta była zwalczana przez wszystkich z wyjątkiem olbrzymiej większości mas wyborców.

W dziennikach amerykańskich, ukazuje się codziennie krótka kronika dnia pani roosevelt p.t. "Mój dzień". Wypowiada ona tam bardzo swobodnie swe myśli, nie licząc się zupełnie z oficjalnymi po-

glądami administracji rządowej. Gromi dyktatorów, izolacjonistów i zwolenników pokoju za wszelką cenę. Jest typową przedstawicielką zdrowego rozsądku kobiet amerykańskich, lecz w to, co robi i mówi, wkłada więcej rozumu, prawości i serca, niż ktokolwiek inny. Oddawna przestała się ona troszczyć wyłącznie swoimi osobistymi sprawami. Jeszcze w 1917 r. Roosevelt pisze do niej: "Gdybyś mogła czasami pomyśleć trochę o sobie".

Pani Roosevelt odznacza się aktywnością życiową, w porównaniu z innymi kobietami. Nawet w czasie podróży kolejną nie przestaje nigdy pisać lub rozmawiać ze swym otoczeniem.

"Bardzo mnie interesowało życie i wszystkie jego przejawy i chciałam doznać tych wzruszeń i przeżyć, które są dostępne dla kobiety moich czasów. Wydawało mi się, że powinnam się spieszyć". To wyznanie wiary napisała pani Roosevelt dość dawno. Od tego czasu nie zmieniła ani swych poglądów ani trybu życia.

*By wiecie, że...*

### Brzydkie zwyczaje "BIG BENA".

Lubimy słuchoać "Big Bena", wydzwaniającego nas co wieczór godzinę dziewiątą przed "News'ami". Okazuje się że ten mamutowy zegar dwa razy w ciągu każdej godziny wskazuje fałszywy czas.

Kiedy wskazówka minutowa zbliża się do kwadransa po godzinie, przyspiesza swój obrót i dochodzi do punktu o 5 sekund wcześniej od czasu w Greenwich. Potem prawie przez pół godziny wszystko jest w porządku, dopóki wskazówka znowu nie dochodzi do 3-ch kwadransów, gdzie traci swą szybkość i z opóźnieniem 5 sekund dochodzi do godziny "dziewiątej".

W ostatnim kwadransie do całej godziny wskazówka posuwa się normalnie i zegar wybija godzinę ściśle według obserwatorium w Greenwich.

Powodem tej ekscentryczności "Big Bena" jest.. WAGA JEGO MINUTOWEJ wskazówki. Długość jej wynosi 10 stóp. przeto koniec jej przyczynia mechanizmowi wiele trudności tak w chwili opuszczania się wskazówki, jak i jej podnoszenia się w górę.

## Grzyźlacy.

H. Sienkiewicz.

Wtem w drugim końcu sali jakiś głos krzyknął nagle: "Wiedzą dziewczkę!" - i naraz w całej sali uczyniło się milczenie. Żołnierze rozstąpili się na obie strony, gdyż jakkolwiek żaden z nich nie widział dotąd Jurandówny, a większa ich część, z powodu tajemniczości, którą Danveld otaczał swe uczynki, nie wiedziała nawet nic o jej pobycie w zamku, jednakże ci, którzy wiedzieli, zdążyli już teraz szepnąć innym o przedudnej jej urodzie. Wszystkie więc oczy skierowały się z nadzwyczajną ciekawością na drzwi, przez które miała się ukazać.

Tymczasem naprzód ukazał się germek, za nim zaś na wszystkim służka zakonna, ta sama, która jeździła do leśnego dworca, za nią zaś weszła przybrana białą dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami, przewiązanymi wstążką na czole.

I nagle w całej sali rozległ się na kształt grzmotu jeden ogromny wybuch śmiechu. Jurand, który w pierwszej chwili skoczył był ku córce, cofnął się nagle i stał błądy jak płótno, spoglądając ze zdumieniem na śpiczastą głowę, na sine usta i na nieprzytomne oczy niedojdy, którą mu oddawano jako Danusię.

-To nie moja córka!- rzekł trwożnym głosem.

-Nie twoja córka?- zawołał Danveld. -Na świętego Liboryusza z Paderbornu! To albośmy nie twoją zbójom odbili, albo ci ją jakiś czarownik zmienił, bo innej nie masz w Szczytnie.

Stary Zygfryd, Rotgier i Gotfryd zamienili z sobą szybkie spojrzenia, pełne największego podziwu nad przebiegłością Danvelda, ale żaden z nich nie miał czasu odezwać się, gdyż Jurand począł wołać okropnym głosem:

-Jest! jest w Szczytnie! Słyszałem, jako śpiewała, słyszałem głos mojego dziecka.

Na to Danveld obrócił się do zebranych i rzekł

spokojnie i dobitnie:

-Biorę was tu obecnych na świadków, a szczególnie ciebie, Zygrydzie z Insburka, i was, pobożni bracia, Rotgierze i Gotfrydzie, że wedle słowa i uczynionej obietnicy oddaję tę dziewczkę, o której pobici przez nas zbójcy powiadali, jako jest córką Juranda ze Spychowa. Jeśli zaś nią nie jest - nie nasza w tem wina, ale raczej wola Pana naszego, który w ten sposób chciał wydać Juranda w nasze ręce.

Zygryd i dwaj młodsi bracia skłonili głowy na znak, że słyszą i będą w potrzebie świadczyli. Potem znów zmienili szybkie spojrzenia - gdyż było to więcej, niż sami mogli się spodziewać: schwytać Juranda, nie oddać mu córki, a jednak pozornie dotrzymać obietnicy, któż innyby to potrafił!

Lecz Jurand rzucił się na kolana i począł zaklinać Danvelda na wszystkie relikwie w Malborgu, a potem na prochy i głowy rodziców, by oddał mu prawdziwe jego dziecko i nie postępował jako oszust i zdrajca, łamiący przysięgi i obietnice. W głosie jego tyle było rozpacz i prawdy, że niektórzy poczęli się domyślać podstęp, innym zaś przychodziło na myśl, że może naprawdę jaki czarownik odmienił postać dziewczyny.

-Bóg patrzy na twoją zdradę! - wołał Jurand.  
-Na rany Zbawiciela! na godzinę śmierci twojej, oddaj mi dziecko!

I wstawszy z klęczek, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się naprzemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz, jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu i pochwiliwszy się do jego ucha.

szepnął przez zaciśnięte zęby:

-Jeśli ją oddam - to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: "Oszczędź!!" - poczem ciało komtura uderzyło z taką straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygryda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwawszy wielki dwuręczny miecz, runął jak burza na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Byli to ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet gdy odrętwienie minęło, poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednym uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachółków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno, - i rozpaczliwym wołaniem o zbroje, o tarcze, o miecze i kusze. Zabłysła wreszcie broń, i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on niebaczny na nic, nawpół obłąkany, sam skoczył ku nim, i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi, niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczywy brat Gotfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za nim padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy, von Bracht i Anglik Hugues, który choć nie bardzo rozumiał o co chodzi, litował się jednak nad Jurandem i jego męką, a wydobył oręż dopiero po zabicu Danvelda. Inni, widząc straszną siłę i rozpętanie męża, zbili się w kupę, by razem stawić opór, ale sposób ten gorszą jeszcze sprowadził klęskę,



gdyż on z włosiem zjeżonym na głowie, z obłąkanymi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhu-kany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznyimi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę spluskaną posoką, jak burza wali krze i drzewa. I przyszła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi, i że równie jak wrzaskliwa psiarnia nie może bez pomocy strzelców pokonać srogiego odyńca, tak i ci zbrojni Niemcy do tego stopnia nie mogą się zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jest tylko dla nich śmiercią i zagubą.

-Rozproszyc się! otoczyć go! z tyłu razić! - krzyknął stary Zygfryd de Löwe.

Więc rozbiegli się po sali, jak rozprasza się stado szpaków na polu, na które runie z góry jastrząb krzywodzioby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w szale bojowym, zamiast szukać miejsca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo do-gnał - ten marł, jakby rażony gromem. Upokorzenia, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały się mnożyć w dziesięci-oro jego okrutną przyrodzoną siłę. Mieczem, do którego najtężsi między Krzyżaki mocarze potrzebowali obu rąk, władał jak piórem, jedną. Nie szukał życia, nie szukał ocalenia, nie szukał nawet zwycięstwa, szukał pomsty, i jako ogień, albo jako rzeka, która zerwawszy tamy, niszczy ślepo wszystko, co jej prądowi opór stawia, tak i on, straszliwy, zaślepiony niszczyciel - porywał, łamał, deptał, mordował i gasił żywoty ludzkie.

Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z począt-ku nie mogli go dognać, a przy tym pospolici żoł-dacy bali się zbliżyć nawet z tyłu, rozumiejąc, że gdyby się obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby sprawić tylu

klęsk, i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie siły w pomoc przychodzą.

Lecz stary Zygfryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galerię, która biegła ponad wielkimi oknami sali, i poczęli nawoływać innych, aby chronili się za nimi, ci zaś czynili to skwapliwie, tak, że na wąskich schodach przepychali się wzajem, pragnąc jak najprędzej dostać się na górę i stamtąd razić mordercę, z którym wszelka walka wręcz okazywała się niepodobną. Wreszcie ostatni zatrzasnął drzwi, prowadzące na chór, i Jurand pozostał sam na dole. Z galerii ozwały się okrzyki radości, tryumfu, i wnet poczęły lecieć na ryceza dębowe ciężkie żydło, ławy i żelazne kuny od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły się wielkie drzwi wchodowe, i przywołani przez górne okna knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostre koły, drągi, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł naprędce pochwycić.

A szalony Jurand otarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie cmiła mu wzroku, zebrał się w sobie - i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szcęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.



Codziennie pismo żołnierskie  
"DZIENNIK ŻOŁNIERZA"  
wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, przynosi najświeższe wiadomości wojenne i polityczne. Artykuły polityczne, społeczne i kulturalne.

Własne korespondencje  
Felietony i reportaże.  
Duży dział poszukiwań.

Cena 1 pens.

## Wszak zapytania?

Militarne koła Osi starają się usilnie odgadnąć, jakie są inwazyjne plany Sprzymierzonych... Gdzie rozpocznie się lądowanie wielkich armii!? Czy Norwegia będzie tym przyczółkiem wypadowym, czy Bałkany, czy też Italia... A może wszystkie razem i w jednym czasie? Jakże różne są poglądy i przypuszczenia na ten temat na kontynencie Europy. Posłuchajmy paru z nich.

Vichy. Radiowy komentator powiedział: "Mnożą się oznaki bliskiego ataku Sprzymierzonych na Bałkany. Już wkrótce na Morzu Śródziemnym znowu zagrają armaty. Bombardowanie Salonik przez lotnictwo amerykańskie wskazywałoby, że w tym miejscu może nastąpić inwazja Bałkanów. Mamy wiele dowodów stwierdzających, że uderzenie nastąpi lada chwila".

Turcja. Już po raz drugi w tygodniu radio z Ankary ogłasza, że w tym roku nie nastąpi otwarcie drugiego frontu w Europie.

W krajowym przeglądzie politycznym turecki komentator radiowy stwierdził, że działalność Koalicji ograniczy się w roku bieżącym jedynie do zajęcia wysp na Morzu Śródziemnym.

Szwajcaria. Reporterzy radiowi wspominają o wizycie króla Jerzego w Afryce i twierdzą iż według opinii sztabowców szwajcarskich, żadne wielkie operacje wojenne w tym roku nie są przewidziane.

Berlin. Niemcy są zupełnie zdezorientowani bombardowaniem, prowadzonym przez Sprzymierzonych na przestrzeni ponad 1500 mil, obejmujących Niemcy, Francję, Włochy, Sycylię i Grecję.

Stratedzy Osi zdecydowali ostatecznie, że atak inwazyjny skierowany zostanie przede wszystkim na Bałkany.

Szwecja. Według informacji ze Sztokholmu, opartych na norweskich podziemnych źródłach, niemiecki admirał, rzekomo naczelny dowódca stacjonowanej w Norwegii floty niemieckiej, wierzy niezłomie, iż pierwsze uderzenie nastąpi na Norwegię. Ostatnio w całej Norwegii przeprowadzono inspekcję armii okupacyjnej i robót fortyfikacyjnych.

Z powyższych komentarzy wynika, że opinia europejska nie jest jednolita. Fakt ten pozwala przypuszczać, iż plany Sprzymierzonych są okryte do-  
brze strzeżoną tajemnicą. Zakrojone na bardzo szeroką skalę działania lotnicze także nie pozwalają na odgadnięcie punktów, na które może być skierowany pierwszy atak.

Nawet sposób bombardowania Sycylii i Sardynii nie daje nam ścisłego i jasnego obrazu, która z tych wysp zostanie zaatakowana pierwsza. Aczkolwiek bombardowanie Neapolu, Livorno i Ostii oraz innych portów, leżących w pobliżu Sardynii, wskazywałoby na to, iż Sardynia właśnie jest na pierwszym planie.

Późniejsze kierunki lotniczo-strategicznej ofensywy przeciwko samej Italii też by za taką akcją bardzo przynawiały.

Humor brytyjski.



Servus, staruszk! Ja teraz jestem  
Komandosem!